



Czas — to pieniądz.

Lenistwo, to największa i najdolegliwsza nasza wada. Miłosierny Bóg nie poskąpił narodowi naszemu zdolności umysłowych, owszem, obdarzył nas pamięcią dobrą, zastosowaniem trafnem, wyobraźnią bystrą — pomimo tego pozostajemy w tyle za innymi narodami. Przyczyna tego smutnego zjawiska leży w lekkomyślności, z jaką szafujemy czasem naszym. Jak dzieci, tracimy go na byle jakie rozrywki, z których żadnej, ani materyjalnej, ani duchowej korzyści nie wyciągamy.

Żadne może inne na świecie społeczeństwo nie lekceważy sobie tak czasu, tak go nie trwoni, jak nasze. Szczególnie na wsi rzadko kto zdaje sobie sprawę, jaką potęgą jest czas, jakim skarbem nieocenionym.

Czas, to potęga pierwszorzędna, którą taki przedsiębiorczy i najpierwszy pod względem zamożności naród, jak angielski, nazwał pieniądzem. „Czas to pieniądz” — powiada Anglik. Czas to pieniądz, — powtarza za nim Francuz, Niemiec, Włoch, Hiszpan... „Ba! nietylko powtarzają, lecz prawdę tę wcielają w życie i starają się skorzystać z każdej chwili, aby z niej godziwy pożytek wynieść. Lepiej

też dzieje się im, niż nam pod względem zamożności.

Umieć skorzystać z czasu, nie zmarnować ani chwili bez pożytku, rzadko kto u nas potrafi i rzadko kto zdaje sobie sprawę ile krzywdzi sam siebie, rodzinę i gromadę całą, kiedy w zgubnem lenistwie się pogrąża. Nieumiejętność właśnie korzystania z czasu sprowadza pod strzechy nasze, kochani Bracia, tego straszliwego wroga, któremu na imię: nędza, głód, pijaństwo.

Największe leniuchy odznaczają się tem, że nigdy nie mają czasu. Taki parobek czy dziewczka nie ma czasu iść do kościoła, nie ma czasu przeczytać pożytecznego pisma, nie ma czasu iść na naukę. Nie wie, kiedy przewałkoni cały boży dzień. Ciągłe by spał, ciągle by jadł, a swawolił bez miary!

Tymczasem wszyscy wielcy mężowie, co wsławili się za życia i są chlubą narodu, rządili się zawsze tą piękną zasadą: Grzech jest zmarnować choćby chwilę w życiu na cześć próżnowanie. Uważali oni za największe dla siebie nieszczęście, jeśli zmuszeni byli do bezczynności.

Najwyższy Stwórca tak pięknie i mądrze świat stworzył, że człowiek stateczny, pracowity, na wszystko czas znaleźć powinien.

Nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że jeśli Anglik, Francuz lub Amerykanin po trzykroć więcej zarabia i byt ma dostatniejszy, to zawdzięcza przedewszystkiem umiejętnemu wykorzystaniu i wyzyskaniu czasu wszak dzień raz zmarnowany nie wraca już nigdy. Przepędziwszy próżno w lenistwie tydzień, miesiąc—mniemy, że przyszły miesiąc lepiej zużytkujemy. Tymczasem mija przyjazna chwila do pracy, wyprzedzają nas w niej inni — strata niepowetowana nie daje na siebie czekać.

Najuczciwszy może być człowiek, najlepszych chęci, a nie wie co z czasem zrobić. Kręci się z kąta w kąt, byle czas zabić, i powiada: Nie mam co robić!

Patrzcie, nie ma co robić! A tymczasem książka gdzieś w kącie zbrukana leży, którą gdyby chciał otworzyć, przeczytać — znalazłby pocieszenie w strapieniu, naukę i radę.

Inni znów utyskują na brak czasu, lecz nie to staje w tym razie na przeszkodzie, ale nieumiejętne zużytkowanie go.

Zastanówmy się tylko, ile to czasu marnujemy po wsiach i miasteczkach na czcze pogawędki, na plotki, obmowy i bezcelowe sprzeczki, zabawy, pohulanki. Zwłaszcza dziatwa wiejska i młodzież, całe długie zimowe wieczory, po większej części przepędza w bezczynności.

Jest to wielki grzech społeczny. Tę dziatwę i młodzież obowiązkiem starszych, zająć elementarzem, zachęcić do pracy nad zdobyciem tej najniezbędniejszej dziś dla każdego broni, wobec wielkich życiowych burz i wypadków: oświaty.. Każdy ojciec i każda matka powinna to mieć na sumieniu, że dziecko zostawione bez umiejętności czytania, pisania, rachunków, zawsze będzie sierotą — kaleką. Będzie to istota rzucona na srogą pastwę losu: głodu i poniewierki.

Bacnie tedy czuwajmy nad dziatwą i nie pozwalajmy jej od najmłodszych lat próżnować. Z pracowitej dziatwy mądrzy i możni wyjdą gospodarze.

Pamiętajmy wszędzie i zawsze, że „czas to pieniądź“!

Modlitwa do Najświętszej Panny.

Matko, dla Ciebie wiosna skarby sieje
I ziemię stroi w najcudniejsze kwiaty —
Słońce żywymi blaskami jaśnieje
I rzuca Tobie złoto i szkarłaty.

Ptak wzbity w górę, Tobie pieśni
[śpiewa,
Strumyki szemrzą tajemnicze słowo,
Modlą się cicho wody, niwy, drzewa:
Bądź pozdrowiona, Matko i Królowo!

Lud Tobie wierny, dla pieśni się zbiera
Pośród zieleni przed Twoją kaplicą,
W hymnach tych prośba brzmi rzewna
[i szczerą:

Bądź pozdrowiona łask wszelkich Skarbnico!

Najświętsza Panno, co królujesz w
[niebie,
Wysłuchaj biednych Polaków wołanie:
Zlituj się, zlituj, o, błagamy Ciebie,
Niech nasza Polska rychło zmar-
[twychwstanie!

Walenty Rytko z Kęt.

Pieśń o domu.

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły,
Szumem swych lip wtórzy twym snom,
A ciszą swą koi twe łzy?

Kochasz ty dom, ten stary dach,
Co prawi baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?

Kochasz ty dom, rzeźwiącą woń.
Skoszonych traw i płowych zbóż
Wilgotnych olch i dzikich róż,
Co głogom kwiat wpłatają w skroń?

Kochasz ty dom, ten ciemny bór,
Co szumów swych potężny śpiew
I duchów jęk i wichrów chór
Przelewa w twą kipiącą krew?

Kochasz ty dom, rodzinny dom,
Co w pośród burz, w zwątpienia dnie,
Gdy w duszę ci uderzy grom,
Wspomnieniem swem ocala cię?

O jeśli kochasz, jeśli chcesz
Żyć pod tym dachem, chleb jeść zbóż,
Sercem ojczystych progów strzeż,
Serce w ojczystych ścianach złoż!

M. Konopnicka.

Płomyk.

Gdy po wykopaniu ziemniaków wyplacono w końcu strudzonym najmitom należność za cały czas robót polnych, pobrali wszyscy na plecy przygotowane już poprzednio węzłki i ruszyli pod wieczór do najbliższej stacji kolejowej. Przyostał tylko Wojciech Lipiecki, chłop z pod Kościana, który przypadkiem przyłączył się wraz z kilku innymi do obieżysasów z Królestwa i razem z nimi pracował. Przyostał on dlatego, że się w dzień podzwigał worem ziemniaków i czuł się jakiś słaby, a powtórę i z tej jeszcze przyczyny, że chciał wstąpić do baraku, w którym ludzie przez cały czas koczowali, i zabrać stamtąd obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i ołowianą lampkę. Sam je był zawiesił, jako chłop pobożny, w kącie nad swoim tapezanem, i oczywiście szkoda mu było świętych rzeczy, a to tem bardziej że Niemcy-lutrzy nie umieliby ich uszanować. Więc w tym zamiarze, po otrzymaniu zapłaty w kancelaryi, powlókł się do baraku wzniesionego na skraju przestronnego pola pod lasem, układając sobie w myśli po drodze, że się prześpi, wypocznie, a jutro skończy pakowanie i pociągnie za innymi.

Ala szło mu się jakoś dziwnie niesporo — i czuł, że ma nogi, jak słomiane, że krzyże go bolą i że w piersiach ma jakby gwoździe, które kłują go przy każdym poruszeniu. Robiło mu się to gorąco, to zimno. Przed samym barakiem rozebrało już chłopca do szczętu. Tyle tylko że wszedł, ledwo zapalił lampkę przed obra-

zem i zaraz gruchnął jak długi, na tapezan. Masz-że teraz! Dopiero zląkł się, bo zrozumiał, że przyszła na niego ciężka choroba, i to tak nagle i z taką siłą, jak latem przychodzi burza.

Odrazu stracił moc w kościach. Chciał się przekonać i z trudem wielkim podniósł rękę do czoła, następnie zawlókł ją na piersi, ale do lewego ramienia ani rusz! I leżał tak czas jakiś, bezwładny, jak pień. Jednakże, ponieważ przytomność nie opuściła go jeszcze, więc naprzód zdjęła go ogromna tęsknota i żal, że ludzie już odeszli i że został tak sam, jak Łazarz na oczyszczeniu. Bo oto, Bóg raczy wiedzieć, kiedy tu kto zajrzy teraz do tego baraku, a przez ten czas nikt mu i dzbanka z wodą nie poda. Co tu zaś przecie bywało zawsze gwaru pod wieczór — i ludzkich głosów, i rozmów, i narzekań, i sporów, i śmiechu, i śpiewania! A teraz cicho. Myszy jeno, które jesienią chronią się z pól przed chłodami do zabudowań, chrobocą wszędy i gryzą zawzięcie drzewo, a blisko wygasłego ogniska, w kupie grochowin świerkają świerszcze polne. Spojrzy Lipiecki po tapezanach, stojących pod ścianami, jakby w nadziei, że może kto zasnął i został, spojrzy na drzwi, że może kto czego zapomniał i wróci, ale nie widać i nie słychać nic. Barak tylko wydaje mu się tak ogromny, jak nigdy, i w głębi całkiem zapełniony mrokiem, bo tylko ta jedna lampka przed obrazem go oświeca. Chłopu robi się jakoś dziwnie nieswojo i poprostu, straszno. Żeby choć jedna ludzka dusza przy nim, — żeby choć jedno polskie słowo ozwało się za ścianą — żeby choć jedno! Nic i nic! A niechże to Bóg broni chorować w takiej pustce, — zaś jeszcze bardziej umierać bez księdza, spowiedzi i sakramentów! Przyszło mu na myśl, że gdyby tak umarł, to Prusaki pogrzebłyby go na luterskim cmentarzu, a może zakopałyby go gdzie w polu pod borem, jak zdechłe bydło, albo psa.

Broń-że od tego, Matko jedyna, i ty, Święta Barbaro, patronko dobrej śmierci.

Lipieckiemu z niemocy, żalości i utrapienia wezbrały łzy w oczach. Podniósł

wzrok ku płomykowi, który świecił pod obrazkiem, i jął mówić: „Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko” — a modlił się ogromnie gorliwie, bo to jedno dobrze rozumiał, że jeżeli Ona go nie wspomże, to będzie z nim źle. Ale już podczas modlitwy poczęło mu się tak mieszać w głowie, że nie mógł jej dokończyć. Pierwej brały go ciagoty i dreszcze, a teraz chwyciła go gorąta taka, jakby mu kto rozpalonych węgli do głowy i do piersi nasypał. I widać, że coraz z nim gorzej i coraz więcej tracił rozeznanie, gdyż nagle wydało mu się że tapczany zaczęły chodzić jeden za drugim po izbie, jak gęsi, i że z krokwi baraku zwiesiły się jakieś długie, do ziemi prawie sięgające powróśla, oblepione rojami czarnych, wielkich much. Przymknął oczy, żeby tego nie widzieć, gdyż było w tem coś tak wstrętne-go, że aż skóra na nim ścierpła. Tyle zachował jednak jeszcze przytomności, że powiedział sobie, iż mu są się to tylko tak przewiduje i że tego naprawdę niema. Jakoż, gdy otworzył znów oczy, tapczany stały po dawnemu pod ścianami, żadne czarne powróśla nie zwieszały się z pułapu i płomyk lampki palił się nad nim spokojnie. Czuł się natomiast okrutnie chory, i aż mu dziwno było, że to idzie tak prędko. Dość długo leżał bez ruchu, tylko wargi mu się trzęsły, bo od czasu do czasu brały go dreszcze. Potem jednak oblała go nowa fala żaru i powtórnie pomieszały mu się myśli. A że to w gorączce, tak jak w jasełkach, widzi się coraz to inne rzeczy, czasem straszne, a czasem miłe, więc przyszło na niego teraz widzenie błogie.

Takie zaś było wrażenie, że już nie starczyło Lipieckiemu rozeznania, żeby sobie powiedzieć, że to jest złuda, ale był pewien, że Matka Boska naprawdę cud uczyniła i kazała go przenieść aniołom w mig do Kościan. Idzie oto szerokim lipowym gościńcem od miasta ku swojej sadybie.... Jest jesień i pogoda cudna. Liście, jedne czerwone, jak płomień, drugie żółte, spływają cicho z drzew na ziemię, bo niema żadnego wiatru. Na da-

chach domów złoci się słońce. Lipieckiemu czyni się jakoś rzewliwie na duszy, i radość zalewa mu serce. Pamięta, że był chory, ale teraz czuje się zdrów i wraca do domu. Widać już jego chałupinę za wiśniowym sadkiem, na prawo ode drogi. Tymczasem przechodzi wedle stawu, po którym, mimo jesiennej chłodu, bobrują z sieciami chłopaki, a na brzegu stoi starowina proboszcz i pilnuje połowu. Przychodzi do niego chłop, całuje go w rękę, a ksiądz, spojrzawszy mu na twarz mówi: — „Bójcie się Boga, Lipiecki, a wyście się gdzie przecie tak wymizerowali?” — „Dobrodzieju — odpowiada — choróbsko opadło mnie na Saksach, alem z pomocą Bożą wyzdrowiał”. A na to ksiądz: — „Oj! — powiada — podziękujcie Matce Boskiej, bo śmierć na obczyźnie to zatrata nie tylko dla ciała, ale często i dla duszy”.

— Prawda, prawda, prawda!

Tu wśród widzeń zasnął na dobre. Ale w godzinę, albo i we dwie później, drgnął nagle i zbudził się. Wydało mu się teraz, że przytomność całkiem mu wróciła. Tylko czoło miał złane zimnym potem i poczęły mu ziębnąć ręce, nogi i nos. Ogarnęło go niewypowiedziane osłabienie. Usłyszał jalby dzwony, choć nawet myszy przestały chrobotać i była ciższa zupełna.

Pomyślał wtedy, że zaczyna konać.

Jeszcze raz chciał się przeżegnać — i nie mógł. Dalekie dzwony jęczały żałośniej i żałośniej. Lipiecki patrzył, leżąc na wznak, osłupiałemi oczyma w mrok, który w głębi izby gęstniał, czynił się coraz ciemniejszy i zdawał się toczyć, jak chmura, odedrzwi, ku środkowi izby.

Jednak po chwili nieruchome już prawie źrenice chłopca rozejrzały się z trwogi i twarz pobladła mu, jak płótno, albowiem w baraku poczęto się dziać coś nadzwyczajnego i złowrogiego zarazem.

Oto ów mrok począł zaczyniać się w sobie, skupiać i tworzyć jakowąś postać: zaokrąglił się z wierzchu niby w potworny łeb, rozszerzył się niżej w ogromny tułów, a od tego tułowia wyciągnęły się dwie długie, ciemne smugi, jak ręce.

Lipieckiemu włosy stały się dębem na głowie, a zęby poczęły szczekać, albowiem obaczył teraz wyraźnie, że z całego tego mroku, który zalegał głab baraku, zrobił się czarny, straszny wielkolud — i że wielkolud ten idzie ku niemu.

Jakieś niepojęte, martwe przerażenie nappełniło powietrze. Powiało mrozem, jak od lodu. A potwór zbliżał się, ale posuwał się tak wolno, jak posuwają się ślepi. Jakoż istotnie w jego ohydnych łbie nie było wcale oczu — i tylko ręce wyciągał coraz dalej przed siebie, macając jednostajnym okropnym ruchem po tapczanach, jakgdyby szukał, gdzie jest ta żywa ludzka dusza, po którą przyszedł.

— Jezusie. Maryo!... — krzyknął Lipiecki.

— Śmierć! śmierć!...

I w tej chwili jeszcze jedna, jasna, jak błyskawica, myśl rozświeciła mu krzepnący mózg, że to nie polska śmierć przy jasnym ognisku domowym, przy spłakanych twarzach, przy gromnicy i litanii, ale obca, czarna, i lodowata pruska śmierć, która dla człowieka tak niemiłosiernie, jak kat i która jest zagubą, bez nadziei i mocą bez światła, i otchłanią bez Boga.

Więc w ostatniej toni i rozpacz zwrócił jeszcze spojrzenie ku obrazowi i począł wołać gasnącym już i przerywanym przez śmiertelną czkawkę głosem:

Panienko Najświętsza!... Ratuj!... O retę!... Ratuj!..

Czarne, straszne ręce szukały już na najbliższym tapczanie.

Ale wówczas stało się coś takiego, czego żadne ludzkie słowa dobrze nie wypowiedzą.

Płomyk od lampki przed obrazkiem oderwał się nagle i począł płynąć, jak złota pszczoła, przez powietrze ku potworowi.

Lecz rósł z każdą chwilą; w jednym mgnieniu oka z płomyka stał się płomieniem, rozpałił się, rozżarzył, zbiełał. Z boków strzeliły mu skrzydła, nad skrzydłami podniosła się głowa, jakby w koronie — i zmieniony w białopiórego ptaka, rzucił się z błyskawicą na straszego Czarno-

boga. I ujrzał Lipiecki ogromną bitwę światła z ciemnością.

Zmora skręciła się, niby wąż, w którym utkwiono żeleźce. W mrocznym cielsku zasyczało coś, jak rozpalona stal w wodzie, rozległo się chrapanie i charczenie. Już ciemność wije się, rozdziera, rozpada, a orzeł razi ją, zatracą, niszczy, wypala. Zwalił się wreszcie czarny kadłub, runął łeb, rozproszyły się plugawe ramiona, poczem opadło wszystko i rozwiało się prochem marnym.

Cały barak zalało światło tak jasne, jak słoneczne.

A gdy srebrzysty ptak zmienił się napowrót w płomyk i przeleciał znów złotą pszczołką przed obraz, lipiecki spał już głębokim snem, w ciszy, jaka zalegała barak, słysząc tylko jego spokojny, równy oddech.

W kilka dni później wrócił chłop w dobrym zdrowiu do rodzinnej wioski i przez całą potem zimę — i w mieście i w chałupach — rozповідаł, co mu się owej nocy przygodziło. Więc niektórzy dziwili się wielkim dziwom, inni zaś myśleli, że to wszystko widział tylko w gorączce, albo we śnie. Jednakże proboszcz starowina, wierzył głęboko, że to był cud prawdziwy. Pewnej niedzieli powiedział nawet ludziom w kościele z ambony, że płomyk z przed oblicza Boga — Rodzicielki potrafi się na Jej rozkaz w orła przemienić i że nieraz jeszcze obroni chłopą polskiego przed niejednym Czarnobogiem i niejedną zmorą śmiertelną.

Złote ziarnka.

Strzeż się zbytniego pośpiechu w robocie, bo stałoby się z tobą jak z mura-rem niedbałym, którego zasypały gruzy lada jak stawianej budowy, choć jej jeszcze nie dokończył.

Kto się zdaje na łaskę fal morskich a nie chwyta się deski ratunkowej, ten musi utonąć, tak jak niezdarny próżniak, co się tylko na los szczęścia spuszcza.

—o—

Przemoc ani sroga niewola nie złamiał człowieka, jeśli duch jego wolny, jak ptak swobodny, ku niebu się unosi.

—o—

To, cośmy przeżyli w przeszłości, niech nam będzie nauką, jak w przyszłości żyć mamy.

—o—

Człowiek prawdziwie mądry nie dobiera słów nigdy przesadzonych, ale tak zawsze przemawia, że go nieuczony prostaczek zrozumieć potrafi.

—o—

Kto ma myśl zdrową, ten wnet odróżnia prawdę od błędu, a w tem jest najwyższy rozum człowieka.

Rady gospodarcze.

Środek stwardnienia drewnianych sprzętów.

Jedną część miałkiego krzemionkowego piasku, topi się z dwiema częściami potażu, a gdy płyn ten ostygnie, rozpuszcza się go w wodzie, w której następnie drewniany przedmiot się namoczy. Po wysuszeniu, trzeba namoczyć go w cieczy składającej się 1-ej części kwasu solnego i 4 ch części wody, a po wysuszeniu, namoczyć go jeszcze w roztworze keperwasu czyli żelaznego witryolu. Drzewo nabędzie kamiennego pozoru, da się nawet polerować jak kamień i nadzwyczajnej twardości nabędzie. Środek ten stosować można do każdego drzewa, jednak udaje się najlepiej z dębem.

Rady zdrowia.

Lecnicze znaczenie miodu. Dzieci, które szybko rosną i przytem są wątłe, blade i mizernie wyglądają, samym instynktem swym odczuwają, co jest dla nich dobre, i po większej części mają nieprzeciwieństwony pociąg do słodczy, a miód ze wszystkich łakoci najwięcej im smakuje. Nieomylny to głos natury, miód bowiem czysty, niepodrobiony, nie tylko ze względu na swój smak i aromat, o wiele przewyższa wszystkie słodczy sztuczne, ale co ważniejsza — wśród środków, zasilających sokami organizm ludzki, jest najposilniejszą i najłatwiej strawną substancją odżywczą, i dlatego miód powinien być artykułem codziennego użytku. Chleb z miodem i szklanka mleka — oto najzdrowsze i najpożywniejsze śniadanie dla dzieci, młodzieży, dojrzałych osób, starców. Leez, poza wielką wysoką wartością odżywczą, miód posiada jeszcze i własności lecznicze. Wywiera on nader zbawienny wpływ na cały ustroj ludzki, a głównie na nerwy, na które oddziałuje uspakajająco. Z powodu wielkiej obfitości cukru, wchodzącego w skład miodu, zjawia się on przy wprowadzeniu do żołądka, jako potężna siła, jako główny czynnik wytwarzania ciepła w ciele, i taki staje się pomocnym w trawieniu osłabionem, usuwa przytem niedokrwistość i blednicę u dziewcząt. Otóż ponieważ na wsi nie jest zbyt trudno o prawdziwy miód, gdzie i cena jego jest niższa niż w miastach i o gatunek wyborowy łatwiej — troskliwie przeto o zdrowie dzieci matki, niechaj spróbują przez czas dłuższy codziennie smarować dzieciom chleb miodem, a przekonają się po kilku miesiącach, jakim to dobrodziejstwem dla zdrowia jest ów miód, którego ludzie nieoświeceni obawiają się udzielać dzieciom, w myśl zakorzenionego przesądu, jakoby słabym szkodził na zdrowiu. Miód jest w istocie samej prawdziwym lekarstwem naturalnem: użyty bowiem wewnątrz usuwa często rozpoczynający się kaszel, ka-

tar, grypę a nawet i bóle gardlane. Również niezwykle pomocnym bywa w cierpieniach jamy ustnej, narządów oddechowych, tudzież żołądka. Prócz tego, używa się jeszcze miodu przy katarze nosa, oraz kataralnem zajęciu gardła — ale wtedy musi on być ogrzany, a nawet dobrze ciepły i spożywa się go aż do czasu ulgi w cierpieniu, co 15, 20 lub 30 minut.

Rozmaitości.

Ciemnota u ludu we Francji. Zdawałoby się, iż wśród Francuzów, którzy szczycą się największą oświatą i postępem, nie znajdują się już tacy, którzyby wierzyli w uroki i znachorów, a jednakże można ich jeszcze dużo spotkać, gdyż mimo pozornej oświaty w tym kraju, zaniedbano tam kształcenia młodzieży w duchu religijnym, w moralności i zrozumieniu praw bożych. Dlatego rośnie ona bez hamulca i w dojrzalszym nawet wieku, dopuszcza się dzikich wybryków. Oto jeden z przykładów takich, jaki zdarzył się na wiosnę w wiosce francuskiej St. Remy, gdzie między innymi, mieszka hodowca nierogacizny, Lakroa. Ten zauważywszy, pewnego razu, że jego świnki jakoś straciły apetyt i chudną, za radą żony, „zabobonnej” kobiety, postanowił zasięgnąć pomocy znachorki, którą też z sąsiedniej wioski sprowadził.

Znachorka, udając sen magnetyczny, zmrużyła oczy i przytłumionym głosem rzekła do Lakroa:

— I wy i wasze wieprzki jesteście urzeczeni.

— Przez kogo? — zapytał świnkarz.

— Przez kogoś, kto we wsi mieszka od dwu miesięcy.

Zaczął szukać takiego i pokazało się, iż takim człowiekiem jest tylko nowy proboszcz, Ks. Saburin. Lakroa poszedł do wsi pobliskiej na naradę z krewniakami swym, Gotierem i stanęło na tem, iż tenże z żoną poszedł do proboszcza, prosząc, by zdjął urok rzucony na wieprzki. Zdumiony ksiądz z trudem przekonał Gotiera o niedorzeczności jego posądzeń i ten wró-

cił do domu. Nazajutrz jednak, na plebanii zjawił się Lakroa, wzywając Ks. Saburina aby przyszedł do jego żony, która jest umierająca.

Dobry kapłan nie przypuszczając podstępny, udał się do domu parafianina, lecz zaledwie wszedł za próg, drzwi na klucz zamknięto a zebrani u Lakroa ludzie, rzucili się na księdza, znieważając go i bijąc. Krzyki i hałas ściągnęły wójta, który przybywszy z żandarmami, wyratował proboszcza z zasadzki.

Wnet zaczęły następować smutne skutki zbrodniczej napaści: żona Gotiera przerażona całym wypadkiem, dostała na miejscu umysłowego obłądzenia. W kilka dni później, żona Lakroa wyszła z domu na gościńce, z ośmioletnią córeczką. Kobiety zajęte praniem bielizny nad rzeką, sądziły, że odprowadza dziecko do szkoły, lecz widząc że zeszła za topole przydrożne i skierowała się ku łąkom zalany woda, zaniepokojone, zawiadomiły rybaków, którzy zaraz wyszli na poszukiwanie, ale daremnie. Znalezione nieszczęsną kobietę wraz z córeczką, w głębokim rowie, zatoniętą, bez życia.

Prócz tych dwu ofiar zgubnego zabobonu, dwie inne jeszcze osoby, z tych, które brały udział w „odeczynaniu uroków” popadły także w obłąkanie.

Fraszki.

Na co stajnia? — Wiele kosztuje to mieszkanie? — Tysiąc koron na rok. — A jest przy niem stajnia? — Nie, a naczóż? — Wszak pan nie ma koni. — Nie na konie, ale na takie bydło, które zgodziłoby się płacić tysiąc koron za takie mieszkanie.

Kiedy pić wino. Ojciec daje rady synowi: — Kochany Michale, bądź zawsze wstrzemięźliwy. Oto patrz, ja doszedłem już późnego wieku, bo przez całe życie pijałem wino tylko w czterech przypadkach, to jest: 1) w chorobie, — 2) w gościnie, — 3) częstując gościa — i 4) w różnych innych okolicznościach.

Sama się zganiała. Lokatorka A: — Ci nowi sąsiedzi są bardzo nieporządni. Nie mają ani żelazka, ani sitka do herbaty, ani czajnika. — Lokatorka B. Jakim sposobem się pani o tem dowiedziała? — Lokatorka A. Bo chciałam sobie od nich pożyczyć.

Zastrzeżenie. Myśliwy podnosi strzelbę, by strzelić do przebiegającego zająca. Strażnik lasowy, przypadkowo obecny, woła niespokojnie: — Panie, dla Boga, nie strzelaj pan! — Czemuż to? — Bo na tego zająca pan hrabia każdej niedzieli poluje!

Zręczny wybieg. Sędzia do oskarżonego: — Adwokat Szpanowski skarży pana za to, żeś pan publicznie na ulicy, powiedział, iż on jest „oszustem i grabieżnikiem.“ Czy to prawda? — Tak, to jest prawda; ale ja tego nie powiedziałem.

Podobieństwo. — Spotkałem wczoraj pewnego pana, który był nadzwyczaj do ciebie podobny. — Czy być może? — Tak był podobny, że nawet prosił mnie o pożyczanie 10 koron.

Omylona przezorność. Doktor: — Ciesz się pani, bo w zdrowiu twego męża zaszła niespodziewana zmiana na dobre. — Pani: — Jakto, już nie umrze? — Nie, będzie zdrów; ale cóżto, nie cieszy się pani? — No, jużci cieszę; ale tak zapewniałeś mi pan wczoraj o rychłej śmierci, że już sprzedawałam wszystkie jego suknie.

Nie spieszy się. Dozorca więzienia pyta zbrodniarza przed powieszeniem, czy czego nie pragnie. Ten oświadcza, że chętnie zjadłby kilka brzoskwiń. — Ależ teraz mamy styczeń! brzoskwinie jeszcze nie prędko dojrzeją. — To nie szkodzi, ja mogę zaczekać.

Napiwek. Bogaty bankier jechał do rożką i zajechawszy na miejsce, dał do rożkarzowi, prócz zapłaty, koronę na piwo. Woźnica niezadowolony rzekł do bogacza: — Syn pański ma zwyczaj dawać mi zawsze 5 koron napiwku. — O, mój kochany, ale w tem jest różnica, że on ma

bogatego a oszczędnego ojca, a ja mam młodego, marnotrawnego syna.

Stosownie do miejscowości. — Ho, ho, panie hrabio, pan jesteś w stolicy, a masz na sobie taką starą, wytartą suknię! — No, to cóż? bardzo jest dla mnie wygodna, a w stolicy nikt mię nie zna. — Ale to ubranie nosisz hrabio i w domu. — No, to i cóż? W domu przecie zna mnie każdy.

Zagadka.

*O pierwszym tyle powiedzieć mogę,
Ze niem wskazujem użytek lub drogą;
A druga z trzecią celewać ma siłą,
By z niej zawodu w potrzebie nie było.
Całość ścieśniona zasłoną gór czarną, —
Do niej potoki i źródła się garną.*

Znaczenie zagadki

w nrze. 4. „Niewiasty“.

Ś-wiat — k-wiat.

Rozwiązania nadesłali: Jadzia Brużówna z Muniny, w następującym wierszyku:

Wnet woniejący usycha kwiat,
Jeśli go zmrozi ten zimny świat.

Józef Janeczko z Szonychla w takim wierszu:

Kłeska srogiej wojny gniecie
Nieszczęśliwy świat,
A więc chociaż na tym świecie,
Wonny buja kwiat,
Darmo był nam na tym świecie
Słodzi kwiatu woń,
Skoro krwawy los nas gniecie,
W rękę błyska broń.
Rzućcie na bok miecz, narody,
A będzie ten świat
Wnet podobny do zagrody,
Gdzie barwny lśni kwiat.